

Sanocki Trakt, A.D. 1855
(nieopodal wsi Olszany)



ajmiesz pokój obok mojego, tak będzie najwygodniej. Jest tam jakaś graciarnia, to ją sobie wysprzątasz, możesz nawet urządzić składowisko ziół albo innych wiechci, nie mam nic przeciwko. Tylko nie wieszaj ich na ścianie, co przylega do mej komnaty.

– Dlaczego?

– Jak to: dlaczego? Przecież trzeba drzwi wybić.

Gościniec wyglądał jak tunel. Wybuch wiosny ukwiecił drzewa i krzewy, które teraz muskały gałązkami skroń Tyszkowskiego i siedzącej przed nim na siodle Katji. Aptekarka, pozbawiona od niedawna swego popielatego warkocza, była mniej narażona na atak roślinności – ostrzyżoną głowę okryła wypłowiałą chustką, która nie wyglądała najpiękniej i dzięki temu skutecznie tłumiała ogniste zaloty Antoniego.

– Ja... – Katja nabrała tchu tak głośno, aż Asmodeusz zastrzygł uszami. – Ja...

Toni wstrzymał na chwilę konia, aby odchylić kolczastą gałązkę głogu znad czoła dziewczyny.

– Zapewne chciałaś zacząć od „jaśnie panie”...? Cóż, ze względu na starą znajomość zezwalam ci pominąć należy mi tytuł i przejść do rzeczy.

Puścił gałązkę, która natychmiast zaplątała się w czarną grzywę Asmodeusza. Ogier wstrząsnął łbem i chmura białych kwiatów głogu rozsypała się po jego grzbiecie, nadając narowistej bestii wygląd łagodnego, pierdołowatego konika, z takich, co to widnieją na akwarelach sprzedawanych za grosze na jarmarku.

– Ja... nie chcę wybijać drzwi – odparła Katja płacząco.

Antoni ściągnął wodze i mocniej przygarnął aptekarke do siebie. Poczuł, jak kciuk zagłębia się pod jej żebrami. Do kurwy nędzy galicyjskiej, trzeba wreszcie podtuczyć tę dziewczkę, bo to grozi zwichnięciem palca!

– Proszę, proszę, królewna się znalazła! Nie chce mieszkać w sąsiednim pokoju! Jeszcze niedawno Kowalscy targali cię za warkocz, kiedy zupę wylałaś, a teraz...

– Teraz nie mam warkocza – burknęła i odtrąciła jego dłoń.

Nie zraził się. Dłonie powędrowały wyżej, ku wypukłościom, które u każdej kobiety oznaczały biust, u Katji zaś przypominały niegroźną, bo złożoną z dwóch krost wysypkę.

Wzdrygnęła się.

– Do jasnej cholery, czemu ciągle wierzgasz?! – wybuchnęła. – Nie umiesz jeździć konno, chcesz spaść i zaryć łbem o ziemię?! Łapię niżej: źle! Łapię wyżej: źle!

– Sama się trzymam w siodle! Nie musi mnie pan ciągle obmacywać jak owcę przed stryżeniem!

Chociaż to godne potępienia zuchwalstwo samo prosiło się o karę, Tyszkowski tylko zacisnął zęby. „Jest rozdrażniona bólem, biedulka” – pomyślał i spojrzał z troską na obwiązany szarpami, poraniony bark. Objął ją, tym razem delikatniej, trzymając kciuki w bezpiecznej odległości od żeber.

– Sarnino, zapewniam cię, że to żaden kłopot. Sabina pomoże ci wysprzątać pokój. Ona albo te twoje rozpuszczone do imentu bachory. Uparte dziewczuchy! Zamiast przytaknąć, przymilić się, jak Bóg niewiastom przykazał, ciągle warczą, jak ten wilk, com go onegdaj z dołu wyciągnął. Ani chybi zapatrzyły się na przybraną matkę, cały czas słysząc tylko „chcę” albo „nie chcę”, jakby te małe, chłopskie pomiotelka miały własną wolę...

– Panu chyba uszy mchem zarosły, bo nie słyszy, co do niego mówię! – przerwała. – Moje córki nie będą sprzątać nie z tej przyczyny, że nie umieją. Przeciwnie – robią to doskonale! Nie będą sprzątać, bo nie ma ku temu powodu. Dlatego, że ja – powiedziała z naciskiem – nie chcę mieć pokoju obok pańskiego! I pana też nie chcę!

Tyszkowski uniósł brew. Chyba w istocie słuch go omylił. Ta dziewczka nie chce jego? Jego...?! Herbowego pana, za którym szalało pół Wiednia, przemyskie wdowy i birczańskie panny, o włościankach rybotyckiego klucza nie wspominając?

– Niepokoję się o ciebie, Sarnino. Pleciesz trzy po trzy, żeby mnie zdenerwować? Po co takie głupstwa wygadywać, wiesz przecież, że temperamentny. A może przyczyna jest inna? Opiłaś się za dużo ziółek? Albo spodziewasz się periodu?

Znowu ją objął, tym razem wkładając w ten gest więcej czułości. Nic to nie dało.

– Z periodem czy bez, nie chcę, by pan mnie tykał jak swoją własność!

Roześmiał się dobrodusznie.

– Przecież jesteś moją własnością, bom cię zabrał Kowalskim, którzy twoimi właścicielami byli od urodzenia. Więc czemuż mam cię nie tykać, kiedy mi przyjdzie ochota?

– Bo nie chcę! – burknęła, znowu wykręcając się z uścisku. – Nie jestem koniem na targu!

– Gdybyś była koniem, to bym ci wędzidło założył i oćwiczył bacikiem, a może i trochę przegłodził, żeby okiełznać twą bezczelną naturę. Kto to widział, żeby chłopka swemu panu tak długo odmawiała? Nawet Asmodeusz nie gryzie ręki, która go karmi!

– Sama się nakarmię, sama na chleb potrafię zarobić! A przynajmniej zarabiałam, dopóki pan mi nie przeszkodził i uczynił ściganą zwierzyną dla cesarskiej władzy! Niech mnie pan wreszcie od siebie puści!

Toni zaklął. Porzucił wodze i uniósł obie ręce do góry, jednocześnie trącając boki Asmodeusza. Koń ruszył, a dziewczyna pozbawiona oparcia, z piskiem poleciała na bok. Antoni schwycił ją, gdy zsuwała się z siodła.

– Widzisz, co się dzieje, kiedy puszczam cię wolno?

– Widzę! Specjalnie pogania pan biednego Asmodeusza, żeby spadła!

Antoni przyzwyczajony był do niewdzięczności w wykonaniu Katji, ale chyba pierwszy raz czyniła to z takim zaangażowaniem. W jej głosie czuł nienawiść,

wściekłość, wstręt prawie! Smagała słowami jak pejcem.

– Sarnino, czy w ciebie dzisiaj diabeł wstąpił? Nie upieram się, że masz mnie wielbić jak cała reszta niewiast, ale na litość boską! Czy ze mnie taki potwór, żebyś rzucała na mnie oszczerstwa, gdy ja nieustannie wybawiam cię z kłopotów?

– Nie przeczę, że wybawiał mnie pan z kłopotów – odparła zimno – ale z kłopotów, które przez pana powstały i które sam pan własnymi rękami wyrychtował!

Toni potrząsnął głową, bo uczuł, że podczas trzydniowej kąpieli w wannie u Wilhelma Kreyczego, którą odbył w wesołym, damskim towarzystwie, najwidoczniej musiało mu się nalać wody do uszu.

– Własnymi rękami? – upewnił się. – A! Więc to ja powoduję twoje kłopoty?

– A kto, u licha?! Pan i tylko pan! Gdyby nie pańskie umizgi, żyłabym sobie spokojnie u Kowalskich i pies z kulawą nogą nie wiedziałby o moim istnieniu!

Zgrzytnął zębami. Szczerze mówiąc, odkąd poznał aptekarkę, stale nimi zgrzytał, aż cyrulik kazał mu na noc wkładać deseczkę między dolną a górną szczękę w obawie przed całkowitą utratą szkliwa.

– A więc twoje nieszczęścia to moja sprawka? A jak dzieci ratowałem z powodzi w leśniczówce, to co...? Powódź też wywołałem?!

– Ale przez pana dzieci musiały z Birczy wyjechać! Tam by ich woda nie zalała, jeno by ze swym ojcem żyły w spokoju, tak jak i ja bym żyła, gdyby nie wszedł mi pan w drogę! A pan, nie dość, że wywrócił moje życie

do góry nogami, to jeszcze planuje mi pan przyszłość u swego boku, na którą nie mam najmniejszej ochoty!

– A cóż w tym złego, żem ci zaplanował przyszłość, dziewczko rogata? Mam patrzeć w nieskończoność jak w podartych łapciach latasz po chałupach leczyć skrofule i sraczkę? Czyż przyszłość u mego boku nie dowodzi troski o ciebie, tępą kozo? Wszak mój bok to nie byle co! Trochę szorstki w powodu owłosienia, ale prócz tego waleczny, majętny i cóż... nieskromnie powiem, że atrakcyjny! Przy tym boku możesz zabłysnąć w wykwintnym towarzystwie, pokazać się, wyjść do ludzi w pięknej sukni, klejnotach, kapeluszach, którymi zasłonisz ucho, i rękawiczkach, które litościwie skryją zielone paluchy. Nie ma co się krzywić, Sarnino. Powinnaś dziękować za mą wspaniałomyślność i za to, że uznałem cię za wartą moich pieniędzy i uczuć. Jeszcze dużo pracy przed tobą, nim pozbawię cię wieśniaczych upodobań i wprowadzę w lepsze towarzystwo, ale cóż! – Westchnął. – Zachciało mi się chamki, to teraz pokutuję.

Katja zgrzytnęła zębami.

– Niech pan nie pokutuje! Nie spieszy mi się skończyć, jak pospolita dziewczka wdzięcząca się do możnych, którzy za tydzień o niej zapomną, bo zabiegać będą już o inną! Co pan sobie myśli...? – zasyczała, aż Toniego przeszedł dreszcz. – Że po to mnie ojciec mój uczył o ziołach? Po to mnie wykształcił na księgach i uczonych traktatach, żebym miała umizgiwać się do jaśnie panów...? Chyba by się w grobie przewrócił, gdyby usłyszał, jakie rozpacza pan przede mną „dobrodziejstwa” bycia pańską lalką i bawidełkiem do pierwszego znudzenia! Suknie,

po których się depcze, a pod nimi gorsety, w których nie można oddychać! Wymyślne, układane godzinami fryzury, ciasne rękawiczki, buty na obcasach, ciężkie kapelusze, kolie z drogimi kamieniami, noszone tylko po to, by w jednych wzbudzić zawiść, a w drugich chęć kradzieży! To mi pan proponuje?! To ma być to szczęście i ziszczenie marzeń każdej kobiety? – Zrobiła pauzę i zmierzyła go takim wzrokiem, że aż zacisnęła dłoń na szpicrucie. – Naprawdę widzi mnie pan, jak mizdrzę się do szlachty i ocieram nos haftowaną chusteczką? Jak potykam się w butach na obcasach, poleruję paznokcie albo kilka godzin trefię przed lustrem włosy, by na balu potrząsać loczkami przed jakimś znudzonym hrabią, co umie tylko grać w karty i uciskać poddanych?! Niedoczekanie pańskie i całej pańskiej sfery! Wołałabym sobie życie odebrać, niż spędzić je na takim marnotrawstwie!

– Sarnino... – bąknął tylko, bo zabrakło mu słów. – Na litość boską, co ty...

– To tylko dowodzi, że mnie pan nie zna, skoro wymyślił dla mnie taką świetlaną przyszłość i oczekuje wdzięczności!... I nie słucha mnie pan. Nie słucha i nie chce słyszeć, choć tyle razy prosiłam, tłumaczyłam, by pozwolił mi pan jeno ludzi leczyć, do czego mnie ojciec przybrany przysposobił! Nie chcę luksusów, chcę jeno pomoc dawać, wiedzą się dzielić z takimi, co jej nie mają, w cierpieniu ulżyć chorym, ale... – Spuściła głowę i potrząsnęła nią z rezygnacją. – Ale cóż to pana może obchodzić? Pan ciągle o jednym, ciągle chce pan ze mnie uczynić swoją igraszkę, dziewczkę wiarołomną i pospolitą,

co swój los upatruje w dogadzaniu grzesznym skłonnościom wyżej urodzonych.

Toni zamknął oczy i policzył do dziesięciu, zamiast przecinków używając przekleństw.

– Przykleił się pan do mnie jak błoto do podeszwy! Nie pojmuję z jakiego powodu, bo nie jestem ani ładna, ani mądra, ani żadnych zalet nie posiadam, które by mnie mogły awansować na kochanicę herbowego szlachcica, co ma piętnaście tysięcy morgów i na skinienie każdą z niewiast, która na tych morgach przyszła na świat. Nie wiem doprawdy, co uczynić, aby pańskie uwielbienie przygasło, aby mnie pan od tego zaszczytu uwolnił. Chętnie bym się myć przestała, chętnie bym się wysmarowała wawrzynkiem, żeby dostać pryszczę, łupieżu albo zaraźliwej egzemy. Może uniknę w ten sposób losu chłopek, które rodzą szlacheckie dzieci. Krótka chwala takiej niewiasty. Wystarczy, że po porodzie nie mieści się w suknię, wystarczy, że zmęczenie i niewyspanie wyrzeźbią na jej twarzy pierwsze zmarszczki, a już jaśnie pan ją wymienia na kolejną. Kolejną do pierwszego znudzenia.

– Do pierwszego znudzenia?! – Nie wytrzymał. – Do kurwy nędzy galicyjskiej, uganiam się za tobą całe pół roku!

– I jaki tego skutek?! Ukradł mi pan moje życie: prawe, spokojne i wypełnione dobrymi uczynkami!

– Aniele przeczysty i niewiasto pokorna jak jagnię. – Tyszkowski wznosił oczy do nieba. – Jakże mam odzyskać twą łaskę, którą żem utracił nie wiem, z jakiej przyczyny?

Plecy Katji zafalowały od wstrzymanego oddechu.

– Niech mi pan wreszcie zwróci wolność, do cholery!

Antoni pomyślał, że chętnie by ją teraz związał, przerzucił przez siodło i zawiózł do Jamnej, od czasu do czasu lejąc po dupie szpicrutą. Spojrzał na dziewczkę z wyrzutem, ale napotkał tylko hardy wzrok. Krótkie popiełate kosmyki włosów wystawały spod chustki i sterczały wokół czoła jak cierniowa korona.

– To ja cię niewolę, Sarnino? Jakimże to sposobem? Czy wtedy, gdym cię wyrwał z zapleśniałej piwnicy, gdzie pomieszkiwała kątem u dozorkzyni przemyskiego zamku...? Czy może masz na myśli rezydencję mego niedawnego przyjaciela, pana Kreyczego, który chciał cię wydać Roztworowskiemu, a potem zawlec przed sąd...? Czy może niedawną wizytę u Kowalskich, gdzie leżałaś w lochach przypięta łańcuchami i torturowana...? A może kiedyś zachorowała na cholerę albo rzucała się w gorączce i kiedym cię doglądał i warował przy tobie jak pies...? Wyjaśnij mi to, bo szczerze mówiąc, nie pojmuję własnych zbrodni.

– Gdyby nie pan, nie musiałabym uciekać ani do Kreyczówki, ani błąkać się po ulicach Przemyśla! Gdyby mnie pan nie chciał odkupić od Kowalskich dla własnego widzimisie, Augusta nie byłaby zazdrosna i nie uwięziłaby mnie w lochach!

– Doprawdy?

– Gdyby nie pan, nie poszłabym na ten ohydny bal i nie ściągnęłabym na siebie złości panienki Augusty i jej rodziny! Ale nie! Zobaczyła, co pan wyprawiał na balu! Pańskie umizgi, uściski, ohydne, oślizgłe karesy! Pan

musiał urządzić swoje przedstawienie, przebrać mnie za damę, a potem oglądać, jak przyjmuję kpiny, docinki i złośliwości od możnych z pańskiego towarzystwa! Miał pan swój własny cyrk i małpkę, dobrze się pan bawił? Nikt by mnie nie wydał żandarmom, gdyby nie pan! Wroga bym z pańskiej szlachetnej matki nie miała, tylko opiekunkę!

Tyszkowskiego zamurowało, bo nie uderzyła go tyle słuszność argumentów, co złość, z jaką Katja rzucała oskarżenia.

– Dlatego niech pan zapamięta. Po pierwsze... – Uniosła zielony palec. – Niech mnie pan nie dotyka! Po drugie: niech się pan do mnie nie zbliża! A po trzecie... – Palec zadrżał. – Niech mi pan już nigdy, przenigdy nie poma-ga!!!

Toni również chciał policzyć do trzech, ale nie zdążył. Krew uderzyła mu do głowy. Jak ta dziewczka śmie?! Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, po tym, na jakie upokorzenia i niewygody się naraził, by ratować jej chudy tyłek z opresji! A pieniądze? A kalanie szlacheckiego gniazda spoufalaniem się z chłopką?! A scysja z Kowalskimi, z którymi zna się od dzieciństwa? A w końcu bezmiar sprytu, jakim musiał się wykazać, by przekonać doktora Kreyczego, że trzy noce w ramionach sprzedajnych kobiet to dowód nie męskiej chuci, a porzucenia marzeń o aptekarce...? Nawet nie pomyślała, ile go to kosztowało samozaparcia i odwagi! Mógł przecież zostać obrabowany, zaszantażowany przez chciwe zysku, zepsute dziewczęta, mógł spłodzić co najmniej trójkę nikomu niepotrzebnych dzieci (każde z inną matką),

mógł w końcu zachorować na kiłę albo rzeżączkę! A ta pyskata chłopka, jak zwykle, myśli tylko o sobie i swoich wyimaginowanych krzywdach! Dosyć!

– No to idź! – warknął. – Skoro takim niedobry!

Chwycił ją oburącz w pasie i zaskoczoną postawił na ziemi. Z wyżyn swego wierzchowca pochylił się nad ostrzyżoną głową w chustce.

– Gdym wyjeżdżał z Jamnej, twoja młodsza córka powiedziała, że trzeba dać wolność komuś, kogo się... – Odkaslnął, bo to słowo nie przeszłoby mu przez gardło. – Więc idź, gdzie chcesz. Ja, twój ciemiężca, zwracam ci wolność. No! – Wskazał drogę przed sobą. – Śmiało!

Syknęła jak rozzłoszczona gęś.

– Dziękuję najuniżeniej wielmożnemu panu! Zaiste, piękny gest, jaka szkoda, że nie zdobył się pan na niego dużo wcześniej! Bodaj bym na oczy nie ujrzała pańskiej przekłętej, zwichniętej nogi!

Krew Toniego tężała wraz z każdym wypowiedzianym przez dziewczkę zdaniem, a obelgi dziurawiły mu serce.

– Bodaj bym szybko zapomniał, żeś istniała. Żegnaj, Sarnino!

Trącił Asmodeusza piętami, a ponieważ koń ani drgnął, Tyszkowski wyjął grudkę cukru z przytroczonego do siodła worka i wsunął ją ogierowi do pyska.

– Masz, draniu! Jedź jak najszybciej, żebym swą obecnością nie kalał oczu tej rusińskiej gorgony!

Świsnął szpicrutą i Asmodeusz pogalopował przed siebie.

